Ner 28. Kraków, 15go Lipca. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Od Redaktora.

Powszechnie to jest przyjętem w świecie, że za pisma peryodyczne z góry opłaca się należytość. U nas dla braku dostatecznej komunikacyi bywa jednakże, że najgorliwsi abonenci aż w połowie, a nawet przy końcu pierwszego lub w połowie drugiego miesiąca nowego kwartału nadsyłają należytość. Taka praktyka zmusza redakcyą do rozsyłania numerów pisma i tym, którzy z góry nie zapłacili należytości, a to aby i abonentom nie dokuczać, którzy przeszkody w odsyłaniu pieniędzy mają, i sobie nie robić przykrości odstręczaniem od pisma życzliwych temuż.

Ogłaszała już redakcya, aby Ci, co na przyszłość abonować na jej tygodnik nie myślą, pierwszy numer kwartału nienaruszony odsyłać chcieli. Uczynili to niektórzy i tym więcej naszego pisma nienarzucaliśmy*). Innym, posyłaliśmy dalszy ciąg pisma dla tego, że wypadało nam sądzić, iż go mieć chcą, i że w dogodnej porze doszlą nam zaległości.

Jednakże podziśdzień niemało pozostało niezaspokojonych zaległości za kwartał od 1go kwietnia do ostatniego czerwca 1861. Redakcya, mając wydatki na druk, papier, stęple, marki, expedycyą, musząc honorować większą część artykułów, najusilniej prosi nietylko o spieszne nadesłanie jej wymienionych zaległości, ale i o to, aby dbali o wzrost literatury peryodycznej Rodacy, mnożenia się zaległości i na przyszłość niedopuszczali. Kto w porę daje, dwakroć daje — prawdziwe to przysłowie — a należy je powtarzać z przyciskiem, gdy się ściąga do stosunków z naszemi redakcyami, które nie siedzą na kapitałach, lecz mają pełno kłopotów i zgryzot.

MARYA LESZCZYŃSKA,

Obrazek historyczny

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Inflanty w XIII w. przez kawalerów mieczowych niemieckich zdobyte, którzy tam wiarę św. zaprowadzili, zostały w r. 1561 do państwa niemieckiego przyłączone. Będąc w środku pomiędzy Szwecyą, Moskwą i Polską a nie mając dosyć potęgi utrzymać się na niezawisłem stanowisku, udały się Inflanty pod opiekę Polski, w której chrześciańsko-cywilizacyjnym charakterze najwięcej gwarancyi niezawisłości swojej widziały. Król też Zygmunt August przyjął ich zapewniwszy im wszystkie prawa, wolności i swobody. Stan błogiego pokoju trwał odtąd w tej pięknej krainie nieprzerwanie aż do pokoju oliwskiego, od czasu którego Inflanty Szwedom odstąpione zostały, jednakże z zagwarantowaniem narodowych praw i wolności. Epoka dążenia do monarchicznej nieodpowiedzialnej samowładzy nastała, i znalazła gorliwego jej obrońcę w osobie króla szwedzkiego Karola XI. Tu się poczyna polityczna działalność Patkula. Gdy bowiem król idąc za zasadą absolutyzmu, że władza jego li od Boga pochodzi, a więc nie jest odpowiedzialną przed ludźmi, oświadczył, że ma moc wszystkie poprzednie w poddanych sobie krainach darowane czy pozwolone dobra, z małoznaczącem tylko ograniczeniem napowrót odebrać, przyszedł także ten rozkaz i do Inflant, do których w tym celu naznaczono komisyą redukcyjną *).

Oburzone stany Inflant, wysyłają przeciw temu deputacyę z swego łona do Karola XI; pomiędzy tą znaj-

*) Komisyą, mającą na celu lub zupełnie dobra odbierać, lub bardzo ograniczać (redukować), zmniejszać.

*) Byli i tacy, co dopiero 4ty numer nowego kwartału podsyłali, o poprzedzających zapomniawszy, porozrywali więc komplety.

dował się Jan Reinhold Patkul. Jeden on tam stawił dzielnie czoło, wykazując śmiało całą niesprawiedliwość tego kroku, a nawet posunął się do tego, że miałby wybierać pomiędzy moskiewską a szwedzką niewolą, to przełożyłby pierwszą. Nie była to mowa do absolutnego króla, szukano więc tylko powodu do uwikłania go w proces stanu, i znaleziono go wkrótce. Patkul był bowiem kapitanem, pułku jego dowódzca obchodził się z powładnemi najgorzej, Patkul zaniósł więc skargę do króla, ale zamiast sprawiedliwości, robią tegoż samego pułkownika sędzią w radzie wojennej, a ten Patkulowi przeznacza śmierć. Nie czeka wtedy Patkul wyroku, ale ucieka do Kurlandyi. Zwabiony podstępnie listem żelaznym bezpieczeństwa wraca, lecz wkrótce widząc groźne przeciw sobie wyroki, znów ucieka, tą razą udając się w podróż do Szwajcaryi, Włoch i Francyi. Po obiorze Augusta II królem polskim, Patkul ofiaruje mu swoje usługi za pośrednictwem jen. Flemminga, a ponieważ wtedy właśnie na dworze królewskim rozmyślano o wojnie szwedzkiej, więc też Patkul jako znający kraj przydatny się wcale wydawał. Odtąd też działa on ciągle to jako ajent pośredniczący związek między carem i Augustem, to jako dyplomata, to znów jako podający plany kampanii i jako dowodzący jenerał. Mówiliśmy już przy oblężeniu Rygi o niesprawdzeniu się przepowiedni Patkula, że stany inflanckie natychmiast się przyłączą, bo owszem wydały one manifest upokarzający jego; to też już od tej chwili stracił zaufanie Augusta, a Karol XII jako najezdzcę z bronią w ręku, zbrodniarzem stanu ogłosił.

Po tem niefortunnem oblężeniu Rygi, przysporzył sobie Patkul wielu nieprzyjaciół, mianowicie Fleminga, chcącego zwalić całą winę niepowodzenia na niego; widząc to wszystko wstąpił on z pozwoleniem Augusta w służbę cara jako jenerał i tajny radzca. Tutaj wiernie urzędy najwyższe sprawował, atoli wszystkie jego przedsięwzięcia wypadały tak nieszczęśliwie, że sobie coraz więcej nieprzyjaciół, (szczególniej wszystkich ministrów saskich) naraził, a mianowicie bardziej jeszcze rozjątrzył króla szwedzkiego i Augusta, niemogących mu jego śmiałego tonu w broszurach przebaczyć. Tak też po zawarciu pokoju w Altranstädt August bez wielkiego pasowania się z sobą wewnętrznego, wydał tegoż w ręce Karola, czem oburzył cara piszącego o instancyą za Patkulem nawet do cesarza Józefa I, a nazywającego pokój altranstedzki naruszeniem wspólnego aliansu. Są pogłoski, że August starał się tajemnie Patkulowi ucieczkę z Saksonii (gdzie go sam poprzednio uwięzić kazał), ułatwić, i pomimo że niema na to pewnych dowodów, wolimy raczej temu wierzyć; atoli w każdym razie szkaradna słabość jego charakteru tu jest widoczną.

Patkul d. 8go kwietnia 1707 oddany w ręce jenerała szwedzkiego Majerfelda, zawieziony został do miasteczka Kazimierza. Gdy spowiednik wszedł do jego więzienia i obwieścił mu straszny wyrok jego śmierci, zatrząsł się Patkul wzruszony, ale zaraz począł usprawiedliwienie zaczęcia wojny szwedzkiej, przyczem gorzko się na zdradę króla Augusta uskarżał. W dniu egzekucyi przyjął pobożnie ŝte Sakramenta, a gdy oficer przyszedł go zabrać, prosił spowiednika aby z nim razem wsiadł na wóz. Wysiadłszy na placu egzekucyi ujrzał przygotowane koło, którem go kat tłuc miał, przeląkł się, a chwyciwszy za ręce księdza rzekł: „Ojcze, błagaj Boga, abym nie zrozpaczył!“ Zdjęto mu kajdany, Patkul odmawiał modlitwy, w tem oficer dozorujący głośno czytać począł wyrok, w którym stało: że Patkula *zdrajcę ojczyzny* będą kołem tłuc i pasy z niego drzeć. Na te słowa „zdrajca ojczyzny“, zatrząsł się powtórnie nieszczęśliwy i spojrzał w niebo. Cóż się wtedy w duszy biednego dziać musiało; w tej duszy, która otrząść chciała z siebie jarzmo nielitościwej przemocy! Iluż to podobnie cierpiało!

Kat był niedoświadczony w swem rzemiośle, a i narzędzia śmierci nie były nowe, ale popsute i nieskończenie przedłużające męki. Kat też dobrodusznie przepraszał Patkula za swoje niedoświadczenie. Poczem więc rozciągniono go na golej ziemi, zapomniawszy wprzódy według używanego przytem zwyczaju udusić, żywego uderzono kołem 14 do 15 razy *). Przypatrujący się temu wyżsi oficerowie, nie mogąc znieść tego widoku, rozkazali oprawcy głowę mu uciąć, aby się tak nie męczył, ale i tego niezgrabny kat uczynić nie zdołał, uderzając nadarmo tępą siekierą kilka razy; nareszcie nieżywego poćwiartowano.

Podczas wszystkich tych mąk Patkul wydawał okropny krzyk rozpaczy i zmiłowania boskiego,—zaiste! wielkie to musi być zmiłowanie boskie, skoro tak często spokojnie patrzy na okropne pastwienie się bliźnich nad sobą, a nie rzuci piorunu zagłady na świat tak maluczki pod Jego stopami!

Król August w r. 1713 kazał pozostałe szczątki wspaniale pochować, lecz czyż to zmniejszy jego wielką winę w obec ludzkości?

Abdykacya króla Augusta zadziwiła wszystkie dwory, a ze względu wyrzeczenia się traktatem aliansu, oburzyła cara Piotra. Piotr widząc się zupełnie opuszczonym, a Karola silnym zwycięzcą, któremu wszystkie dwory powinszowania składały, widział jedyny ratunek w aliansie z rzecząpospolitą polską. Dla tego z pomocą ambitnego, o koronie dla siebie marzącego hetmana Sieniawskiego, i z pomocą milionów stara się on burzyć kraj wewnętrznie i odciągać liczne partye od Szweda. W części mu się to udaje, zwłaszcza gdy związkowi z konfederacyi sandomierskiej zawezwawszy prymasa, pod jego przewodem usankcyonowali wyż rzeczoną konfederacyą, przez co stanęli w silnej już co do zasady opozycyi, przeciw obiorowi Stanisława.

Mając kilkanaście tysięcy kwarcianego wojska Sieniawskiego, udaje się carowi trapić niepoślednio Karola; wielu zaś panów niewidząc żadnego punktu wyjścia z tak zagmatwanego stanu rzeczy, (zwłaszcza że car Piotr zły na Augusta, tegoż za króla uznawać przestał), udawało się znowu na stronę Stanisława, widząc tam stałe szczęście i siłę oręża, a chcąc raz zakończyć te ciągłe klęski. Tymczasem Karol ciągle zwycięzca, odbierając od wszystkich dworów drżących przed jego potęgą unižone hołdy, urósł w pychę, i ślepo ufając jedynie sobie, opuszcza, wbrew radom znękanego smutną dolą kraju Stanisława, Saksonią, puszczając się przez Litwę, Ukrainę, w najcięższe mrozy i bez wszelkiej żywności w głąb Moskwy. Przegrana dla niego batalia pod Pułtawą r. 1709, zaciemnia nagle prawie całkiem gwiazdę tego, któremu się zachciało szpadę swoją zatknąć na szczycie kapitolu w Rzymie, więc też jak Otwinowski powiada, Bóg starł imie jego, „że jako przeciwko Piotrowi rzymskiemu zgrzeszył, tak go Bóg fatalnie Piotrem carem moskiewskim skarał.“

W tej to drodze przechodząc przez Litwę, dzielnie rażony był przez zaczajonych po lasach i moczarach Kurpiów, lecz nieustraszenie postępował dalej z ogłodzonem wojskiem. Złączywszy się z Mazepą, hetmanem kozaków, chciał dosięgnąć cara w samej Moskwie, ale car zebrawszy 100,000 zaskoczył go pod Pułtawą, gdzie Karol zmuszony głodem ryzykować bitwę, do szczętu prawie zniesiony został, sam ledwie ratując się od niewoli moskiewskiej.

(* Förster.

Tymczasem król Stanisław usłyszawszy o klęsce Karola, wydał manifest z pod Opatowa, zwołując stany do Warszawy do jedności, i decydując się złożyć koronę, jeżeliby tego dobro Rzpltej koniecznie wymagało. Przyrzeczono mu wprawdzie wierność, lecz gdy z jednej strony Sieniawski z licznem wojskiem koronnem stał na karku, z drugiej car Piotr mający zamiary synowi Aleksemu koronę wsadzić, do Polski wkraczał, a i król August z Sasami znów do Polski się wybierał, przeto przymuszony ojczyznę opuszczać, nie przypuszczając już, że ją znów kiedy zobaczy.

Opuszczając ojczyznę miał on teraz jedynie na celu połączyć się z sprzymierzeńcem, którego nie mógł zapomnieć w nieszczęściu, skoro tamten tyle dla niego w szczęśliwych czasach uczynił.

Z szczęściem odstępują ludzie, tak i teraz stronnicy Stanisława powracającemu Augustowi powtórną przysięgę wierności złożyli, w czem ulżyła sumieniowi Polaków stolica Apostolska rozwiązując przysięgę ich poprzednią, daną Stanisławowi. Z wiernych wytrwale, pozostał prawie jeden tylko Potocki wojewoda kijowski, bo Szmigielski potem się znów Augustowi ukorzył. On to udał się najprzód do księcia Rakocego, chcąc go poruszyć w sprawie Stanisława, ale tam nic nie wskórawszy, udał się do Benderu do króla szwedzkiego.

August zaś znów wróciwszy do Polski, najprzód się wzmocnił zawartym na nowo aliansem z Moskwą, a zarazem wydał manifest tłómaczący zerwanie zawartego pokoju altranstadzkiego, które to tłómaczenie było brzydkiem przypomnieniem jego wiarołomności. Król Stanisław nie tylko mu nieprzeszkadzał, lecz nawet dla spokojności ojczyzny chcąc dobrowolnie złożyć koronę, wszedł z nim w negocyacye, które jednak nie przyszły do skutku, bo Karol XII wyraźnie tego zabronił, mówiąc: „że jeżeli Stanisław niechce być królem, to on potrafi innego na jego miejscu uczynić.“

Z rezygnacyą przeto opuściwszy ojczyznę, zamieszkiwał jakiś czas spokojnie w Sztetynie z całą swą familią; napad aż Danii i Moskwy w Pomeranią szwedzką, ztamtąd go na obronę kraju swego sprzymierzeńca wyruszył, gdzie jednak nie długo zabawiwszy, z dworem swoim, Szmigielskim i niektóremi znakomitemi Polakami do Sztokholmu się udał, godności swej odpowiednio tam będąc przyjęty. *(C. d. n.)*

KUPIEC WENECKI.

(podług Szekspira).

Miarowym wierszem.

Akt 2gi.

SCENA V.

Szylok, Tubal.

Szylok.

Nu, bracie Tubal, wiesz gdzie moja córka?

Tabul.

To tylko wiem, że wczoraj dała nurka;
Przepadła w morzu, zewsząd złe nowiny.

Szylok.

Aj waj! aj waj! za brylant mój jedyny
W Frankfurcie dałem dwa tysiące w złocie!
Nieczułem dotąd w nędzy i kłopocie
Przekleństwa mego rodu! — Dwa tysiące!
A trzy rubiny zorzy blask mające!
Bodaj ją w trumnie widzieć u mych stóp,
Z brylantem w uszach! mieć na marach trup,
Na trupie złoto! — Żadnej więc nadziei?
A co przy śledztwie stracę na złodziei! —
Aj, koszt na koszt! bo tyle złodziej kradnie,
A tyle sędzia! wszystko mi przepadnie!
I nigdzie zemsty! rozpacz i ohyda!
Nieszczęścia nigdzie, prócz na barkach żyda!
Ten jęk z mej piersi; łez te gorzkie zdroje
Z mych oczu płyną!

Tubal.

Każdy z nas ma swoje;
Antonio także... —

Szylok.

Co, kto? mów, mój drogi!

Tubal.

Utracił statek z Trypoli, w pół drogi. —

Szylok.

To dwa!... jak, powtórz Tubal... mnie gorąco!

Tubal.

Galerę stracił z Mexyku płynącą. —

Szylok.

Trzy!... Bogu dzięki. Czy to tylko pewna?

Tubal.

Widziałem majtków, i kawałki drewna.

Szylok.

Wiadomość dobra! Tubal, gdzie, od kogo?
Dziękuję ci za tę nowinę błogą!

Tubal.

Wiem też, że córka twa, litością zdjęta,
Rozdała sto dukatów.

Szylok.

O przeklęta!
Co, sto dukatów? sto dukatów razem?
Ty mi przebijasz serce jak żelazem!
Mych stu dukatów nigdy nie zobaczę!

Tubal.

Dawny wierzyciel kupca, dwaj bogacze,
Ręczyli mi że jutro zbankrutuje.

Szylok.

Aj, to pociecha, ja go zamorduję,
Ja go powieszę! ściągnę mu postronek!

Tubal.

I jeden z nich pokazał mi pierścionek
Za piękną małpę dany mu do ręki.

Szylok.

Za małpę? Tubal, wleczesz mię na męki!
Mój ślubny turkus! klątwa nad klątwami!
Nie dałbym go za cały kraj z małpami!

Tubal.

Antonia kwit zapłaci za te zbrodnie.

Szylok.

To prawda! najmij choć na dwa tygodnie
Woźnego w mieście. Ja mu wyzrę serce!
Wypędzę z kraju! nożem pierś przewiercę!
Bo skoro jutro w dzień wypłaty pęknie,
Mój handel będę sam prowadzić pięknie.
Weź pozew, śpiesz się; idź, mój Tabul drogi,
Znajdziemy się w przysionku synagogi.

(Wychodzą).

Krystyn Ostrowski.

KUZYNKI.

Powiastka niewieścia

przez

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

(Dalszy ciąg).

III.

Panna Cecylia zasłabła w nocy na kurcze wewnętrzne — zapewne w skutek zaziębienia, — i wielkie w koło siebie wywołała kwasy. Mówimy kwasy — boć to nie było współczucie. Panie narzekały na *ambaras* wielki, uszały ramionami i głowami z niechęcią kręciły. Panny lękały się zwiększenia choroby, by im dalszych nie popsuła zamysłów. Ida coś tam, dąsając się, wspomniała o *pieszczeniu się zbytecznem.* Albertyna zdawała się nawet powątpiewać o rzeczywistości wielkiego cierpienia— i poczęły szeptać z Karoliną: że panna Cecylia była niezadowoloną ze stroika aksamitnego, który modniarka nie do jej gustu zrobiła; że to są *grymasy starej panny* i t. p. — Zaś panny służące, widząc i słysząc to wszystko, również wyraźnie swoją objawiały niechęć: były także zaproszone na zabawę z tańcami, i pójść na nią zamierzały, gdy panie swoje na bal wyprawią, — tymczasem choroba panny Cecylii wszelkie psuła im szyki.

Przyzwany lekarz oświadczył, że choroba, przy najmniejszem zaniedbaniu, niebezpieczny wziąść może obrót.

— Wszystko przesadza, i chora i doktor! — wymówiła Ida po odejściu jego, w drugim pokoju. Słowa te nieprzyjazne doleciały uszów biednej chorej: wyraz boleści przebiegł jej rysy, a łzy oczy zalały. Siedząca przy łóżku Natalia spostrzegła, żal niewysłowiony ścisnął jej serce poczciwe, i mimowolnie podjęła rękę biednej osieroconej kobiety, i przycisnęła ją do ust.

— Moja dobra, kochana dzieweczko! — poszepnęła panna Cecylia z rzewnem w głosie odbrzmieniem; zrozumiało poczciwe dziewczę, a okazane sobie współczucie było dla niej dobrodziejstwem moralnem.

Natalia byłaby się mogła serdecznie rozpłakać.

Około południa nadszedł Stanisław.

— Stasiu! Chodź, proszę cię! — Natalka pociągnęła go do drugiego pokoju. — Stasienku — wymówiła ciszej — ja dziś na bal nie pójdę.

— Jakto! Dla czego?

— Panna Cecylia bardzo jest chorą, i zostanę się przy niej.

— Ależ, Natalko! Cenię dobroć twoją i względność, ale złe to minie, nic niemasz zatrważającego, i przecież ktoś inny nad nią czuwać może.

— Jadzia zostałaby chętnie, ale ja na to nie pozwolę. Wiesz, żem i tak niechętnie bez mamy jechała... Zostanę się przy chorej.

— Przecież są dwie panny służące.

— Najniechętniejsze w świecie, bo także zaproszone na balik: miałaby przeto panna Cecylia najgorszą z nich posługę i najnieprzychylniejszą, jaka tylko być może.

Natalia jeszcze uwag kilka cichszym dodała głosem. Staś głową pokręcił – zmarszczył i zasępił się, bo mu żal było, że siostry na balu nie ujrzy, — ale wszelako przestał ją namawiać: znać, że i do jego serca szlachetne postanowienie poczciwego trafiło dziewczęcia.

Gdy ciotkom oznajmili ten szczery zamiar Natalki— na bardzo słaby i chwilowy tylko trafili opór, że ani spodziewali się tak łatwej z niemi sprawy.

— Przecież cieszyłaś się na bal? — wymówiła pani Mijanowska — i wyrzekasz się go z taką łatwością.

— Chętnie pozostanę w domu — odrzekła Natalia.

— Sukienkę masz ładną i kwiatki — zauważyła pani Ryszczyńska.

— Użyję ich może póżniej.

— To może nie tak prędko się nastręczy. Ale skoro chcesz się poświęcić, bardzo to pięknie z twojej strony.

— Tak, bardzo chwalebnie — dorzuciła pani Mijanowska. — Ale będzie potrzeba jaką *garde malade* sprowadzić, skoro panny także wybierają się na zabawę.

— Doktor mi przyśle jakąś porządną kobiecinę.

Gdy kuzynki posłyszały o postanowieniu Natalki, zdawały się być nieco zdziwione, ale obojętne zarazem. Jadwiga tylko wyrzekła: że i ona pozostałaby się chętnie przy cioci — a potem czule uścisnęła Natalkę.

Panna Cecylia przez dzień cały była mocno cierpiąca — i doktór odwiedził ją trzy razy.

Tymczasem w drugich pokojach odbywały się toalety wielkie, zaraz po obiedzie — a wykończone zostały zaledwie na godzinę dziewiątą. Panny Mijanowskie wyglądały prześlicznie w sukniach białych, przejrzystych srebrem przerabianych, o dwóch spodnicach oszywanych koronką srebrną; w zielonych wieńcach, z *nenufarów*, przypominały miby *najady* i *nixy*, nietylko strojem, ale i podniesioną nim urodą, krasą młodości i powabu. — Panny Ryszczyńskie włożyły świeżutkie krepowe białe sukienki: Karolina miała przystrój z różyczek— Jadwiga z fiołków.

Po godzinie dziewiątej wyjechały panie — a w pół godziny potem panny służące, w dwoistych krynolinach, ze snopami kwiatów, spuszczającemi się na barki. I pusto zrobiło się w około — i głucho, bo tylko z dala dolatywał odgłos krążących po mieście powozów.

Przy łóżku chorej — która zasnęła smaczno — siedziała przysłana przez doktora kobieta. Natalia rzuciła się na kanapę — i marzyła. A o czem marzyła? — To i któżby tam pozbierał te wszystkie kwiatki i listki wonne — któżby pozganiał one lotne świętojańskie robaczki, muszki złoto-skrzydlate i motylki barwne? —

Zamarzyła także i o balu, i niby żal jej było, a majaczyły w myśli jej różne, i różne balowe postacie. — Po północy odwiedził doktór chorą; zastał ją w śnie lekkim, spokojnym, i oznajmił Natalii: że złe minęło.

— Bogu chwała! — poszepnęła młoda dziewczyna i dłonie dziękczynnie złożyła — a zacny doktor z prawdziwem na nią spojrzał współczuciem.

Zastukało w przedpokoju. Zwolua do salonu drzwi uchylono, i Stanisław przycichym zapytał głosem:

— Czy wolno?

— Wolno! — odrzekła Natalia.

— Jakżeż się miewa panna Cecylia?

— O, znacznie lepiej i dobrze.

— Pospieszyliśmy za kochanym konsyliarzem...

— Chciałeś sam przekonać się naocznie.

— I siostrzyczkę moją odwiedzić — odrzekł Stanisław i uścisnął jej rękę. — Ale... nie przyszedłem sam: towarzyszył mi wielki wielbiciel panny Cecylii: Czy pozwolisz Natalko, by wszedł na chwilę?

Zanim Natalja odpowiedzieć zdołała, ozwał się doktór:

— Niechżeż wchodzi, bo tam zaziębi się w przedpokoju nieopalonym, i będę nowy miał kłopot.

— Prosimy! — Stanisław drzwi otworzył i Witold Tarnogrodzki w nieśmiałej ukazał się postawie.

— Przepraszam, jak najuniżeniej przepraszam! — posunąwszy się zaledwie o krok jeden. — Pragnąłem co rychlej dowiedzieć się o stanie choroby panny Cecylii, i potowarzyszyłem Stasiowi. Racz pani tej śmiałości wybaczyć! Jakżeż się miewa chora?

— Pan doktór mnie pocieszył, że dobrze — odrzekła zapłoniona Natalia.

— Tak, tak, jest dobrze, i wstanie jutro zapewne — dodał doktor.

— Siadaj, Witoldzie: zabawimy chwilę – wymówił Stanisław, i sam rzucił się na fotel.

— Tyle pragnąłem poznać pannę Mirońską — zaczął znowu Tarnogrodzki — i ucieszyłem się szczerze, posłyszawszy od Stasia, że jest tu obecną.

— Pan nie znasz jej wcale? — zapytała Natalia, która pojąć nie umiała, tej jego szczególnej sympatyi dla panny Cecylii.

— Nie znałem jej osobiście, pani, ale z opowieści. Panna Cecylia była z bratem swoim w Ołonecku, skazanym tamże na pobyt czteroletni, właśnie gdy i mój ojciec tam mieszkał. Panna Cecylia, nietylko że była aniołem opiekuńczym dla brata swojego, złamanego chorobą, że z nim dzieliła wygnanie, ale nadto stała się i aniołem dla tych wszystkich, którzy podzielali los jego.

— Jest to bardzo zacna i szlachetna osoba — ozwał się doktor — znam ją dobrze.

— Panna Cecylia — mówił dalej Witold — niosła wiarę, nadzieję i pociechę religijną współdzielącym wygnanie. Pogodą umysłu podnosiła upadłego ich ducha: była siostrą miłującą dla wszystkich... Mój ojciec, mój biedny ojciec, wyrwany rodzinie, ciężko i długo chorował, a potem cierpiał melancholią. Panna Cecylia doziarała go w chorobie z miłością chrześcianki, a następnie leczyła z prawdziwie niewieściem uczuciem i troskliwością tę chorobę umysłu jego: zawdzięczaliśmy jej jedynie, że zdrów do nas powrócił. To też mój ojciec wspominał ją zawsze i niósł jej wdzięczną, niezatartą pamięć przez całe życie: to uczucie przelał i na mnie. Dopytywał się ciągle o nią, i byłby szczęśliwym, gdyby ją raz w życiu był zobaczył. A jakżeż matka moja pragnęła ją poznać... Ale panna Cecylia zamieszkała po powrocie z Ołonecka przy bracie swoim na Wołyniu, i nie ujrzał jej więcej.

— Zamieszkała dopiero od lat kilku, po śmierci brata, przy pani Ryszczyńskiej — przemówił Stanisław.

— A wtedy już ojciec mój nie żył, ja za granicą byłem. Pani pojmujesz teraz — zwrócił się ku Natalii — dla czego pragnąłem ją poznać?

— Oh, i bardzo!

— I tem skwapliwiej pospieszyłem wczoraj z uszanowaniem i z najwdzięczniejszem uczuciem. Pamiętam, nieraz ojciec wspominał jakieś zupki, które mu gotowała w chorobie, a równie dobrej nikt zrobić nie potrafił. Zawsze powtarzał: to nie zupka panny Cecylii!

— Panna Cecylia jest osobą, która na szacunek prawdziwy i na szczere zasługuje współczucie — ozwał się Stanisław — a dużo przecierpiała w życiu: miała narzeczonego, zacnego człowieka, którego kochała bardzo i który ją szalenie kochał i uwielbiał. Krótko przed ślubem, spadł z konia i na miejscu życie zakończył.

Po licu Natalii łza gruba spłynęła.

— Panna Cecylia miała następnie parę jeszcze partyj — dodał Stanisław po chwili — ale.... pozostała wierną zmarłemu,

— Ładna to była panna i nadzwyczaj powabna — ozwał się doktor — czego i dziś jeszcze ślady widzimy. A byłaby zapewne i żoną wzorową.

Znowu chwilowe nastąpiło milczenie.

— Bal mamy świetny — przerwał Witold tę ciszę, ku Natalii zwrócony — a pani wyrzekłaś go się... Lecz nagrodzimy to sobie.

— Tak, tak, bal piękny — przywtórzył doktór — osób tłum i przyjęcie wystawne. Ale moi panowie — i spojrzał na zegarek — potrzeba nam wracać. Gawędzimy wprawdzie bardzo przyjemnie, lecz niechżeż panna Natalia teraz parę godzin spocznie: chora będzie aż do rana spała. To nasze zebranie się tutaj było smutnem *intermezzo* wśród balu. Dobra noc kochanej szanownej pani.

— Dobra noc, siostrzyczko najdroższa.

Pan Witold głęboko się skłonił. Lekki stukot w przedpokoju przebrzmiał — i znowu cisza najzupełniejsza zaległa w koło.

Natalia rzuciła się na kanapę — i dumała — dumała smętno: o Ołonecku, o pannie Cecylii i jej narzeczonym, dopóki znowu jakieś barwniejsze nie nadpłynęły widzenia, które zwolna w marzenie przemieniły się senne: dziewczę cudnie pośniło — ale niedługo, bo poczucie obowiązku czuwania nad chorą, rychło ją znowu zbudziło. *(C. d. n.)*

CIOCIA TEKLA.

Szkic współczesny

przez

W. B. K.

I.

W niezbyt pięknej okolicy, leży obszerna wieś Podgórna, z trzech stron równiny Wisłoki otaczają ją bez końca, z czwartej niewielki pagórek zasłaniał ją od południa. Przy tym pagórku rozsiały się białe chaty włościan, stanął kościołek nieduży z plebanią, a przy drodze cmentarz otoczony żywym płotem. Środkiem wioski sączył się mały strumyk, wysychający latem, na wiosnę zaś i w jesieni, najczęściej występujący z swego koryta, a wtedy zalewał wijącą się obok niego drogę, i odcinał wieś nieprzebytą zaporą od reszty świata.

Jednakże kto drogę tę przejechał i minął drewnianą figurę pośrodku wsi, i zwrócił się na lewo pod pagórek, ujechawszy kilkadziesiąt kroków zdumiał się zapewne, spotkawszy przed sobą prześliczną bramę z dwoma murowanemi słupami, i z wielką tarczą herbową pośrodku. Przez sztachety przezierały śliczne kląby drzew sztucznie rzuconych, i obszerny fronton piętrowego pałacu.

W dwie strony krzyżowały się drogi przed bramą: jedna więcej ujeżdżona zwracała się na prawo ku gospodarczym zabudowaniom, które z tego miejsca można było widzieć, druga zaś prowadziła wprost do ogrodu. Jakeśmy wspomnieli, brama była imponująca, przypominała jakiś zabytek średniowiecznych czasów tak powagą swoją, jako też i olbrzymim herbem; za bramą szutrowaną drogą między kląby z jaśminów, bzów i akacyj, jechało się kilkanaście kroków, i na zwrocie odsłaniał się na raz obszerny gazon, po którym kilka drzew rosło zagranicznych.

Objechawszy gazon do koła, na samym prawie szczycie pagórka, dumnie, poważnie, z obszernym na okół widokiem, wznosił się pałac. Ale pałac prawdziwy, nie taki, jakim lud nasz w prostocie swego ducha chrzci każden budynek bez kształtu i gustu byle był tylko obszerny i na piętrze. Był to pałac w stylu włoskim dość u nas pospolitym w ostatnich czasach. Cały z cegły, środkowy fronton ozdabiał portyk z sześciu kolumn, po bokach dwa skrzydła, każde z osobnym wchodem. Przed portykiem na schodach, ustawione rzędem kląby z exotycznych kwiatów, przyczyniały się znacznie do uroku całości, tak iż zapominało się zupełnie, iż się jest w biednym i ubogim kraju na równinach Wisłoki, kędy pół roku śnieg i zima i chmurami pokryte niebo, kędy smutek i żal z wiatrem huczy jesiennym, a zdawało się iż się jest gdzieś w auzońskiej strefie, pod lazurowem niebem, i mimowolnie pragnęło się słyszeć szmer fal morza, i miłosny śpiew barcaroli. Nie było tu nic swojskiego, nic polskiego; wszędzie jakby umyślnie starano się zatrzeć ślad chłodnego podniebia, aż do dwóch amorków, które z całą naiwnością dziecięcą napinały łuki z ostremi strzałami. W ogóle w ogrodzie i wszędzie, znać było staranność drobiazgową: kwiaty grały tęczą różnych kolorów, trawnik połyskiwał majową zielonością, znać było iż jest jakieś oko które z zamiłowaniem doziera porządku i ładu. Ze schodów portykowych przez szklanne drzwi kolorowe, przechodziło się do obszernego przedpokoju, z którego udamy się na lewo, do dużéj kancelaryi, pełnéj książek, kwiatów, obrazów, muszli i statuetek z marmuru lub drzewa. A z téj kancelaryi do sypialni o jednem oknie, obitéj zielonym gobelinem, z posadzką zakrytą miękkim dywanem. Paradna to sypialnia, majestetyczne łóżko z włoskiemi zasłonami w głębi, przy niem stolik z marmurową taflą. Na środku sypialni, niedbale ustawiony sekretarzyk machoniowy, zastawiony mnóstwem świecących drobiazgów, a przed sekretarzykiem safianowy Balzak. W oknie firanki i etażerki z kwiatami. Przy drzwiach szafka z książkami, któréj szczyt zdobiły wizerunki z drzewa, Roussa, Voltera i d' Alamberta, kilka fotelów, stolik i mnóstwo rycin dokończało umeblowania pokoju. Na Balzaku, niedbale w rannym eleganckim ubiorze, leży mężczyzna średniego wieku, delikatnej kobiecéj cery. Rysy jego twarzy drobiazgowo piękne, miniaturowe prawie, tylko jedne oczy duże szafirowe, pełne niewymownej rzewności i słodyczy, nadawały melancholicznego wyrazu twarzy, i usta z wdziękiem kobiecym, i z zakrojem trocha sardonicznym. Jasne blond włosy, miękkie, układały się same, nad bladem czołem.... a w całej twarzy byt jakiś przesyt, znudzenie, jakaś apatia złączona z wewnętrznem niespełnionem pragnieniem. W chwili gdy go poznajemy, niedbale spuścił głowę na piersi, ręce zwisły z Balzaka same i wypadła z nich książka, którą czytał zapewne. A był to przecież cudny sierpniowy ranek, po niebie ptaki śpiewały bez końca, po kląbach i kwiatach szmaragdowe liście błyszczały perłami rosy, w polach daleko słychać było śpiewy wesołych żeńców, z łąk dolatywał brzęk kos ostrzonych, wszędzie było życie, ruch i gwar, tylko w tej sypialni pałacu cicho, chłodno, ponuro.

Mężczyzna chwilę dumał głęboko, lecz czoło nafałdowało się zmarszczkami ciężarnych myśli, tylko jakiś rzewny uśmiech nadziei usiadał na ustach..., tylko czasem westchnienie ciche wyrywało się z piersi; znać było, że myśli jego w jakiejś znanej, sympatycznej bujały okolicy; bo gdy się przebudził z marzenia, popatrzył obojętnym, chłodnym wzrokiem wkoło, podniósł z ziemi książkę i zaczął czytać powtórnie. Lecz czy go książka znudziła, czy jej dokładnie pojąć nie mógł, bo przerzucił kilka kartek szybko, w końcu wstał, odłożył książkę na bok, i otworzył okno. Powiew świeżego powietrza wbiegł przez otwartą kwaterę, a z nim woń balsamiczna kwiatów i śpiewy radosnych ptasząt. Mężczyzna wciągnął powietrze ciepłe całą piersią, wychylił się przez okno i zadumał powtórnie głęboko.

— Włochy!... Włochy!... — szeptał po cichu, a twarz coraz rozkoszniejszego marzenia przybierała wyraz, Włochy!... Neapol!...

Dumania jego, które Bóg wie, jak długoby trwały, przerwał przechodzący ogrodnik...

— Janie — spytał mężczyzna, budząc się z zamyślenia — czy laury i pomarańcze przeniesione z kląbu i ustawione przy marmurowym stole nad sadzawką?...

— Które proszę JPana hrabiego?...

— Te największe, przecież mówiłem ci wczoraj.

— Ta JPan hrabia mówił — odparł ogrodnik kręcąc słomiany kapelusz w rękach — ale rządzca niechciał dać ludzi, mówił że jest coś pilniejszego teraz w polu do roboty, a nie kwiaty przenosić.

— Nieznośny człowiek — szepnął hrabia cicho do siebie, a po chwili spytał głośno— Czy kamelia kwitnie?

— Kwitłaby, ale ją ktoś złamał.

— Złamał, a to kara Boża z tymi ludźmi!... a od czego ty jesteś?...

— Gdzież człowiek da sobie radę, proszę JPana hrabiego, ogrodniczków niema, jeden uciekł, drugi chory leży od tygodnia, i... człowiek sam musi doglądać wszędzie.

— Z tymi ludźmi!... z tymi ludźmi!... głowę trzeba stracić — gniewnie odrzekł hrabia, i niecierpliwie zamknął okno i rzucił się na kanapę. Ledwo ułożył się wygodnie i roztworzył książkę, gdy wbiegła do sypialni cudna szesnastoletnia dziewczynka, i jednym skokiem uklękła przed nim i pocałowała w czoło. Cudnie piękne było to dziewcze: wysoka i smukła; niebieska muszlinowa sukienka prześlicznie chwytała utoczoną jej kibić, i gięła się w poetyczne kształty. W ruchach jej było coś łabędziego, a przytem tyle swobody życia... i wesela! Podobną była trochę do hrabiego o tyle, ile ten miał niewieściego wyrazu w swej twarzy, lecz te same drobne, delikatne rysy w jej twarzy stawały się stokroć wdzięczniejszemi. Te same oczy miała szafirowe, i ten sam w nich wyraz rzewny i słodki, tylko rzęsy ciemne długie, cień na nich rzucały, dodając coś energiczniejszego do tego wyrazu słodyczy. Usteczka jak z koralu wycięte, a rumieniec świeży zdrowia, i ten uśmiech dziewczęcej swobody, który tylko w szesnastoletniej spotkać można twarzy. Ciemne włosy ciężyły na jej małej główce, dwa duże warkocze spadały aż na alabastrową szyję, w warkoczach miała powplatane białe

gałązki lewkonii, i podobny bukiet w ręku. Jednem słowem, zachwycającą była... trudno oczów oderwać od niej było... tak nęciła urodą i wdziękiem.

Dziewczynka ukląknąwszy przed hrabią, który uśmiechnął się na jej widok, odebrała mu książkę, złożyła, i rzekła dźwięcznym głosem.

— Mamcia prosi tatkę na herbatę?...

— Już? a cóż dziś tak wcześnie? ledwie dziesiąta!

— O mamcia już od godziny nie spi...

— A ty? — spytał hrabia, i spojrzał na jej ustrojone włosy — widać żeś już była w ogrodzie, moja Jadwisiu, ale bez rękawiczek i bez parasolki...

— O byłam w ogrodzie, i nawet dalej ho! ho!...

— No gdzież moje dziecko?!...

— Nie mogę powiedzieć — odparła Jadwisia, przykładając paluszek do ust, dodała — to sekret.

— Domyślam się tego wielkiego sekretu — śmiejąc się rzekł hrabia...

— O! o! zaręczam że tatko niezgadnie...

— Odwiedzałyście szkółkę na wsi z ciocią.

— Nie tatku! — poważnie odpowiedziała Jadwisia.

— Byłyście u ks. plebana...

— I to nie tatku...

— A to nie zgadnę, możeście były u Jędrzeja?

— I to nie był główny powód naszej wycieczki, chociaż byłyśmy u Jędrzeja... O! żeby tatko wiedział jaka u niego nędza, to aż się serce ściska; w małej, dymnej chałupie leży śmiertelnie słaby, przy nim ledwie od czasu do czasu siędzie chwilkę Marta, gdy powróci z pola, a teraz i małe tam dziecko umiera prawie... O tatku! — z rozczuleniem ciągnęła Jadwisia — już większej nędzy nie może być na świecie!.. O jaka ta Marta dobra! po nocach całych nie spi przy Jędrzeju, a jaka szczęśliwa była gdyśmy przyszły do nich, po nogach całowała ciocię... — otarła łezkę Jadwisia z oczów i całując ojca w rękę rzekła — ja jej obiecała że tatko niekaże ją wołać na pańszczyznę, i że jej da zapomogę... Tatko to zrobi dla mnie... prawda!?

— Dobrze, moje dziecko, tylko trzeba rządzcy powiedzieć... — no ale piękne to wszystko, ale czemu ty bez parasolki chodzisz, opalisz się jak cyganka.

— A cóż to szkodzi, kiedy mnie nudzi tyle rzeczy nosić z sobą, i pamiętać o nich, zresztą i tak mnie tatko będzie kochał — kończyła, przymilając się czule.

— Ba, zarozumiałą jesteś moja Jadwisiu!

Dziewczynka spiekła małego raczka i spytała:

— Niech mi tatko powie dla czego mamcia i pani Guerlin tak przestrzegają żebym się nie opaliła, przecież my Polki, wychowane na wsi, niepowinnyśmy się bać słońca, bo ono nam złoci zboża, ono wiosnę i kwiaty daje!

— Niech no pojedziesz na zimę do stolicy, to na drugi rok ręczę ci moja Jadwisiu, że niewyjdziesz krokiem z domu bez parasolki.

— A po co mam jechać do stolicy, albo mi tu źle, o! tu tak wesoło w Podgórny, tak czas miło płynie, przeszłego roku jakeśmy byli tylko tydzień w mieście, to mi tak tęskno było za wsią...

— W mieście jest tysiąc przyjemności, o których ci się nawet nie śni — przerwał hrabia.

— Ja ich niechcę poznać mój tatku... Pani Guerlin po całych wieczorach rozpowiada mi nieraz o Paryżu, i nachwalić się miasta nie może... a jednak mnie to niezachwyca zupełnie, ja wolę cichą naszą wieś polską.

—Nie lubisz Paryża?—niedowierzająco spytał hrabia—dziecko jeszcze wielkie z ciebie!...

— O nie tatku, ja już nie dziecko, ja już mam lat szesnaście — i Jadwisia poważnie podniosła śliczną główkę, odgarnęła gałązkę lewkonii, która jej się na czoło schyliła, i dodała żywo — ja nie dziecko, bo mi ciocia Tecia mówi to zawsze, iż w moich latach powinnam być ludziom użyteczna, a kto może być już ludziom użyteczny, ten nie dziecko. Niechże sam tatko rozważy, cóż tam może być tak przyjemnego w mieście? Paryż np. znam lepiej od Krakowa, wiem przez panią Guerlin jak się każda ulica nazywa, gdzie teatr jaki... a jednak, te cuda nie nęcą mnie zupełnie. Alboż tu na wsi niemożna żyć szczęśliwie? Gdybyś ty wyszedł tatku tylko rano, tak jak ja z ciocią, gdybyś widział jak słońce wstaje, gdybyś słyszał jak ptaszki po drzewach śpiewają, jak ludzie idą wesoło do pracy, o tobyś pokochał pewnie Podgórnę, i niewybierałbyś się nigdy do miasta.

Hrabia schylił głowę mimowolnie przed tem zdrowem zdaniem młodej dziewczyny.

— O gdybyś chciał tylko tatku poznać życie wiejskie, ile ono ma cichego spokoju i szczęścia, to byś nigdy nie wyjeżdżał do miasta. Bo ciocia tak pięknie mówi zawsze, że nam już tak Bóg przeznaczył, że wieś nam tylko może dać szczęście, że dla Polaków cały cel życia, skryty w wiejskiem życiu.... że dziadowie nasi potęgą swoją...

Hrabia poprawił się niedbale na Balzaku i ziewnął.

— Ale mamcia czeka z herbatą — rzekła Jadwisia, przerywając zaczęte zdanie, które widziała że nudziło ojca — chodźmy tatku!

— Idź na górę, i powiedz, że za chwilę przyjdę, tylko dokończę zaczętego rozdziału w książce...

— Mamcia mi kazała przyprowadzić tatkę, to ja sama niepójdę... A co tatko czyta? — spytała wesoło, i chwyciła książkę z biórka, i przejrzała kilka kartek — to po francusku — dodała z niechęcią. — Ucieszyłaby się pani Guerlin, gdyby cię słyszała. — Ja jej to samą mówię nieraz — wesoło odrzekła Jadwisia — ona wie dobrze że nie lubię książek francuskich, a bo to dzięki Bogu nie mamy dosyć naszych; o żebyś ty je tatku chciał czytać tylko?!...

— Tyś się uwzięła dziś na mnie Jadwisiu, koniecznie chcesz ze mnie zrobić wiejskiego zaścianka — odrzekł sucho hrabia.

Dziewczyna wpatrzyła się szafirowemi oczyma swojemi w bladą twarz hrabiego, uśmiech znikł z jej usteczek. — Tatko się gniewa? — spytała po chwili i białą lewkonię wypuściła z ręki.

— Nie gniewam się *ma chère* — odparł hrabia wstając z kanapy i całując ją w czoło — lecz te wszystkie zdania twoje, mogą być bardzo piękne lecz są przesadzone, i nie dla ciebie... ciebie inne czeka życie.

— O! o! nierozumiem co tatko mówi!...

— Bardzo to wszystko przykładne, nieprzeczę, lecz to wmawia w ciebie ciocia; ja kocham Teklę, i mam do niej serdeczne przywiązanie, lecz ona od tak dawna usunięta od swiata i ludzi, nie zna ani jego obowiązków ani wymagań. Dla tego wpajając podobne zasady w młodocianą twoją główkę, szkodzi wychowaniu twojemu...

— Cóż ja powiedziała tak złego? — nieśmiało spytała Jadwisia, a strumień łez gorących, już w modrem krążył oku.

— Złego — odparł hrabia — w tem niema nic złego, lecz egzaltacya niepotrzebna zupełnie; to dobre dla ludzi zwyczajnych, lecz ty dzięki Bogu urodzona w innym świecie, ciebie te zaściankowe niepowinny przejmować wyobrażenia.... bo skutek wszelkich takich egzaltacyj masz aż nadto widoczny. Ot ciocia, że życie zatruła sobie całe, że nieposzła za mąż, że całą zmarnowała młodość, to ma podziękować wybujałym wyobrażeniom swoim...

— Tatku! ja tak kocham ciocię! — z boleścią zawołała dziewczyna, i zakryła twarzyczkę, bo już dłużej nie mogła łez w oczach powstrzymać.

— Któżby jej niekochał! lecz nie idzie za tem, żeby wszystko co mówi było nieodwołalną prawdą. Są rzeczy, w których ma dziwne uprzedzenia, zapewne przyszły one z latami i z czasem tak wkorzeniły się mocno, że jej nikt nie przekona. Ma zdania, które nie zgadzają się zupełnie ani z naszem położeniem towarzyskiem, ani z życiem naszem, zdania te rzucają ją w świat inny zupełnie, w inne postępowanie, którego ganić nie mogę, lecz którego również niepochwalam.

Dla Jadwisi, mowa ta cała ojca była niepojętą zupełnie; szesnastoletnie dziecko, czyż mogło w głębokich życia kwestach, mieć już swój sąd wyrobiony? Ona co od lat najmłodszych widziała w ciotce anioła opiekuńczego biednych i nieszczęśliwych, której całe wykształcenie głowy i serca zawdzięczała, mogłaż pojąć że w postępowaniu i zdaniach ciotki jest coś ukrytego, co jej mogło szkodzić przyszłości?! Niepojęła też zupełnie mowy ojca, i tylko zasmucona, pomięszana, schyliła główkę na piersi.

— I dziś naprzykład, czyż to potrzebne, żebyś ty chodziła do chaty starego żebraka? Jałmużna jest rzeczą bardzo chwalebną, lecz jałmużnę tę można posłać przez służącego! skutek ten sam, a dla ciebie to zupełnie nieodpowiednie....

— Jeżeli tatko się gniewa — przerwała nieśmiało Jadwisia — to nie pójdę więcej, chociaż mi to będzie bardzo przykro! O tatko nieuwierzy ile tu w sercu jest szczęścia i wesela, kiedy człowiek sam dobry robi uczynek.

— *Ma chère*, wiesz że do twego wychowania nie mięszam się zupełnie, ja robię tylko moje uwagi. Zresztą ciotka od lat najmłodszych wzięła cię pod swoją opiekę — zrobiłem to dla niej i dla ciebie....dziś może żałuję, lecz się stało; tym sposobem, świetniejszą jeszcze zapewniłem ci przyszłość.....

Biedna Jadwisia, posmutniała jeszcze więcej na tę odpowiedź ojca; podniosła z ziemi upuszczoną jeszcze dawniej lewkonię, i mimowolnie do ust przycisnęła, chcąc powstrzymać głośne łkanie, które z bolejącej rwało się piersi. Hrabia widząc płacz córki, przystąpił do niej i pieszcząc przerwał stanowczo zaczętą rozmowę. Bo hrabia miał dobre, złote serce, lecz miał pewne zasady pewne uprzedzenia, wrodzone nałogi, którym ślepo i mimowolnie był posłusznym; brały też one nieraz górę nad sercem, lecz przed łzami córki serce dopominało się praw swoich.

— No! no! Jadwisiu — rzekł z słodyczą — tylko niepłacz, ty wiesz ile cię kocham, a jeżeli przymuszonym mówić ci prawdę, to dla twego dobra.....

Lecz dziewczynki te słowa nie rozbroiły z boleści; przeciwnie, rozpłakała się naprawdę i śliczna główkę skryła na piersi hrabiego. — Niepłacz moje dziecko, nic się strasznego nie stało, otrzyj łezki i chodźmy na górę!.....

Lecz nie tak to łatwo utulić łzy dziewicze; wprawdzie tak łatwo rodzą się one w oczach, jako chmurka na niebie wiosennem, lecz nie giną na pierwsze zawołanie!.... Długo też hrabia używał całej swej wymowy, długo prośbami i przyrzeczeniami pieścił Jadwisię, za nim uspokoiła się trocha. Lecz chociaż przestała płakać wychodząc z ojcem, nie poszła do matki na górę, lecz pobiegła do swojego pokoiku.

Hrabia skwaszony nieco, poprzednią ceną wszedł chmurny do pokoju, w którym go czekała żona. Pokój ten na pierwszem piętrze, pysznie był umeblowany: ściany orzechowe obicie w złoconych ramach przykrywało ściany, meble obite tegoż koloru adamaszkiem, w rogu pokoju stół nakryty do śniadania srebrną świecącą się zastawą, przy drzwiach stał wygalonowany lokaj.

Za stołem siedziała w karle hrabina. Hrabina przeszła dawno młode lata, ale do dziś dnia jeszcze zachowała w swej twarzy niezatarte ślady dawnej piękności.

Słusznego wzrostu, mimo lat niestraciła utoczonych kształtów kibici, płeć tylko zwiędła, pożółkła nieco. Twarz zaś sama, była posągowo piękna, lecz miała zarazem ten chłód i zimno jakie wieje z kamienia; nie było żadnego zmarszczka na twarzy, którym ból wewnętrzny czytelne ludziom pisze słowa, ani przy ustach, na których łagodność i słodycz osiadać zwykły. Przeciwnie czoło było gładkie, dumne, nieugięte przed żadnem cierpieniem, w oczach czarnych, dużych, nie było znać uczucia żadnego, żadnej tkliwości kobiecej, żadnej słodyczy, którą tak każden na świecie w kobiecie szczególniej szukać i znaleść pragnie, oczy były bez wyrazu, nieruchome, jeszcze więcej marmurową przypominały rzeźbę. Nos grecki prosty, usta przycięte, słowem twarz chłodu...zimna...dumy. A przecież wyraz twarzy, tak wiele w życiu stanowi człowieka...czyż nie najczęściej powodujemy się pierwszemi wrażeniami ..i można powiedzieć jak się rzadko zwodzimy. Z pochwyconego wyrazu twarzy, z jego zewnętrznego układu Gall, Lawater i inni chcieli systemata układać, lecz w teoryi nauki tej jeszcze nieokreślono wcale, w praktyce każden z nas od dzieciństwa nią się powoduje...czy stanie kiedy na szczeblu innych nauk, trudno odgadnąć, bo wszechstronną ona jest jak życie! — głęboką jak otchłań, niedocieczoną jak duch ludzki...

Otóż gdybyśmy szli za wrażeniem jakie hrabina robiła na każdym za pierwszem widzeniem, niebyłoby ono dla niej korzystne. Zimnem i dumą odpychała każdego...a postawą pełną sztywności, budziła obojętność, nie budząc szacunku. *(C. d. n)*

Wiadomości literackie.

W Poznaniu u I. Konst, Żupańskiego wydał Fr. hr. Skarbek, swoje wyrzódy to w „Czasie" (Dodatku), to w „Tygodniku Illustrowanym" drukowane powiastki, p. t.: *Powiastki polskie*. Jestto zbiorek drobnych, często humorystycznych, i przyjemnie czytających się opowiadań, sięgających wojen napoleońskich, i czasów im pobliskich. Ozdobiające niby, wydanie obrazki, są licho wykonane.

— We Lwowie drukiem Kornela Pillera wyszła broszura przez Lucyana Tatomira napisana: „Mieszczanin krakowski z XIV wieku." Jestto historyczne spomnienie o Mikołaju Wierzynku, stolniku królewskiem, słynnym mieszczaninie krakowskim, z *ugoszczenia na zamku krakowskim królewskich swatów wnuki Kazimierzowej*, i z *zakończenia królewskich godów ucztą we własnym domu wyprawioną*. Autor zna dobrze przywileje przez różnych królów naszemu miastu nadane — zręcznie je przeprowadza, lubo obrazek ten o wieleby żywiej wyglądał, gdyby doń użyto więcej historyczno-miejscowych barw, obyczajów i zwyczajów narodowych.

Przeszły numer spóźnił się o parę dni z powodu przeniesienia się w inne miejsce Drukarni, w której się odbija „Niewiasta".

Do tego Nru dołączamy rycinę mód paryskich za miesiąc lipiec, opis ich umieścimy w następnym Nrze.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. **Antoni Rother.**